

Z TEATRÓW STOLICY

Apetyt na musical



Nadzwyczaj efektownie rozpoczął swoją kadencję dyrektorską w Operetce Warszawskiej Jan Szurmiej, opromieniony sukcesami na scenach Wrocławia inscenizator, reżyser, choreograf. Stamtąd tu przywiózł dwa światowe szlagiery musicalowe tym samym czyniąc Warszawie prezent, ale i przypomnienie, że jest miastem od Broadwayu oddalonym o półwiecze co najmniej.

Fakt, musical — jak języki — jest nam obcy do tego stopnia, że publiczność zapytując o „Cabaret” dziwiła się, że to nie Drożdza i nie Pietrzak. I nie ma w tym żadnej winy publiczności, po prostu przez lata i pieniądze, i polityka zgodnie decydowały o braku klasyki musicalowej w Polsce (Teatr Gruzji był tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę).

Te dwa prezenty Szurmieja to fenomenalna inscenizacja „Skrzypka na dachu”, która od premiery we Wrocławiu w czerwcu ub. roku doczekała się już prawie monografii i polska prapremiera „Cabaretu”, musicalu rozslawionego przez filmową wersję z Lisą Minelli. Może właśnie dlatego, że istnieje legenda filmu można było mieć obawy: jak też teatr (zważywszy choćby nasze możliwości techniczne) poradzi sobie z tym fantem. Premiera z czerwca tego roku okrzyknięta została sukcesem.

Spektakl rzeczywiście robi duże wrażenie, budzi szacunek dla inwencji inscenizatora, pracy zespołu, fantastycznej pomysłowości scenografa i brzmienia orkiestry, inspirowanej przez filar polskiego jazzu Zbigniewa Piotrowskiego. I właśnie to współbrzmienie wszystkich warstw kreacji musicalowej budzi największą radość. Oglądany pospiesznie

spektakl zachwyca pomysłowością rozwiązań reżyserskich, imponującymi scenami zbiorowymi. Ten sam spektakl smakowany jak wino ujawni dyskretny urok drobiazgów: malarskie potraktowanie światła, inteligentne zmiany w scenariuszu wspomagające rytm i atmosferę przedstawienia. Szurmiej wspaniale wydobywa genialną dwubiegunowość „Cabaretu”, balansowanie na granicy vitalności i tragedii, radości i widma brunatnego potwora rzucającego cień na rozbawiony, kosmopolityczny Berlin lat 30. Dlatego malutka scenka teatryku Kit Kat może stać się metaforą świata a życie znowu przypomina kabaret... Tym więcej, że natrętny polityczny kontekst naszych czasów tę prawdę w dość groźny sposób przypomina.

Teatr Muzyczny we Wrocławiu ma imponujący zespół. I swoją Sally (w filmie rola Lizy Minelli) znalazł u siebie. Gra ją Agnieszka Matysiak, ekspresyjna, świetnie śpiewająca aktorka zmieniając zaproszoną gościnnie wspaniałą i szaloną Hannę Śleszyńską. Teatr ma ochotę zaangażować jeszcze Agnieszkę Fatygę i — od razu to powiedzmy — wymarzonego Mistrza Ceremonii Jacka Wójcickiego (teraz w tej roli Wojciech Ziembowski i Wiesław Gawełek). Na tle naprawdę wspaniałych zespołów (girls, kelnerzy, marynarze, goście) jeszcze choć odrobina uwagi dla roli literata (Jacek Bończyk), właścicieli pensjonatu (Jolanta Chelmiecka) i sprzedawcy owoców (Zdzisław Skorek wcześniej niedościgniony Tewje Mleczarz). Wspominam tu niesprawiedliwie tylko obsadę z warszawskiej premiery. Cóż, miejmy nadzieję, że to nie ostatnie spotkanie.

No właśnie. Nie da się ukryć, że po tym wydarzeniu jakim się stała wizyta wrocławskiego Teatru Muzycznego w Warszawie rośnie apetyt na musical.

KRYSZYNA GUCEWICZ

Cabaret muzyka John Kander, libretto: Joe Masteroff, piosenki: Fred Ebb, tłumaczenie libretta i piosenek Wojciech Młynarski, Kazimierz Piotrowski. Reżyseria, inscenizacja i choreografia: Jan Szurmiej. Scenografia: Wojciech Jankowiak. Kostiumy: Marta Hubka. Kierownictwo muzyczne: Zbigniew Piotrowski. Gościnnie wystąpił Teatr Muzyczny z Wrocławia.